

na którą już sobie zasłużyłaś. Nie zapomnij po-
zatem, że to jeszcze nie koniec, że możesz w tej
grze zyskać coś więcej. Ale musisz rozkochać
w sobie tego człowieka, musisz go doprowadzić
do prawdziwego zaślepienia i szału. Masz wszyst-
kie dane potemu, moja mała i jeżeli otrzymasz
od niego ten dokument, na którym mi tak za-
leży — przyszłość twoja będzie ustalona.

Berta uśmiechnęła się uroczo, wzięła naszyj-
nik i natychmiast, z żywym zadowoleniem wło-
żyła go na białą szyję.

Następnie zajęła się gorliwie swoją toaletą.
Nie była to rzecz druzgocząca i w zajęcie to,
dostyc zresztą dla niej sympatyczne, włożyła cały
swój gust i staranność.

Około godziny szóstej powóz wjechał na
podwórze hotelu, zajmowanego przez nią. Nale-
żał on do pułkownika Roberla.

Berta ciekawie wyjrzała oknem i ujrzała wy-
sokiego mężczyznę wysiadającego z powozu.

Był to Lambertin.

W pierwszej chwili jakieś zdziwienie prze-
biegło młodą kobietę. Była przygołowaną na
ujrzenie ociężałego, rubasznego wieśniaka, a na-
tomiaś ujrzała człowieka smukłego, o silnych,
zgrabnych ramionach, poruszającego się śmiało
i z pewnością siebie i którego rysy, zresztą do-
syć pospolite, nie pozbawione były pewnego
wdzięku i prostoty.

Czegoś podobnego Berta nie spodziewała się
wcale ujrzeć. Pozatem rysy twarzy pana Lam-
bertin były wyraziste — oczy inteligentne i żywe.
Jednym słowem, nie był on wcale podobnym do
człowieka, którego wyobrażała sobie ujrzeć
i uczuła od razu pewną wdzięczność dla niego
za to miłe rozczarowanie.

Kiedy w kilka minut później pułkownik przy-
szedł po nią, aby jej przedstawić pomocnika
pana Durandau, nie mogła się oprzeć, aby mu
nie wyrazić swojego wrażenia.

— Jakto? Więc naprawdę on ci się podoba,
moje dziecko? — zaśmiał się pułkownik. — Wi-
dzieć, że wszystko ułoży się jeszcze lepiej, niż
przypuszczałem.

— W każdym razie — odparła Berta — wolę,
że jest takim. Nie będę się przynajmniej przy-
muszać do odgrywania komedii.

— Uważaj tylko, Berto, żebyś się sama w nim
nie zakochała. Tobie było nieszczęście dla ciebie.

— Niechże pan nie drwi w ten sposób —
zawołała podrażniona. — Wy mężczyźni jesteście
zawsze ci sami! Nie chcecie uwierzyć, że i my
serce mieć możemy.

— Bo, zdaje się — odciął pułkownik — że to
jest jedyna rzecz u was, którą lubicie ukrywać.
Ale dosyć już tych głupstw, moja mała. Trzeba
iść przywitać naszego gościa! Chodź już, chodź!
On tam zapewne umiera z oczekiwania!

I pociągając młodą kobietę, pułkownik wszedł
do salonu.

Lambertin na ich widok powstał i ukłonił
się, nie okazując wielkiego pomieszanania.

— Moja droga przyjaciółko — odezwał się
pułkownik — przedstawiam ci pana Lambertin.
Panie Lambertin, panna Berta, o której miałem
przyjemność mówić panu dziś rano. No, a teraz,
skoro znacie się już, moi państwo, niechże pan
poda ramię pannie Bercie i przejdziemy do ja-
dalnego pokoju.

Lambertin uczynił to, co mu kazano i za
chwilę całe towarzystwo siedziało za stołem,
bogato zastawionym, na którym srebrna zastawa
i kryształowe błyszczwały tysiącami świateł w bla-
sku świec, gęsto rozstawionych.

Podczas pierwszych chwil rozmowa ciągnęła
się dosyć leniwie. Pierwsze lody nie były jeszcze
przełamane. Lambertin co prawda umierał z głodu.
Posiadał bowiem jeden z tych prowincjonal-
nych, zdrowych apetytów, których niczem za-
spokoić nie można i nie odrzucał bynajmniej
półmisków, podawanych mu usłużnie przez puł-
kownika. Potrawy przytem wyszukane i dosko-
nale przyrządzone, wino pierwszej marki. Lam-
bertin nie lękał się kieliszka i wychylał jeden
za drugim z uznaniem prawdziwego smakosza.
Podczas kiedy jadł i pił, zapomniawszy na chwilę
o uroczym swoim towarzystwie, Berta obser-
wowała go bacznie.

Już kilkakrotnie spojrzenia ich się spotkały
mimowolnie i Lambertin, pomimo iż był gorli-
wie zajęty nasyceniem swojego głodu, doznał
silnego, nieokreślonego wrażenia.

Berta natomiast, zaledwie zwracała uwagę
na potrawy i wino. Zdawała się uważnie śle-
dzić opowiadanie pułkownika, który rozpytywał
się entuzjastycznie nad jakimś eplzodem ze swo-

jej podróży; ale w rzeczywistości wszystkie jej
myśli zwrócone były do gościa. W pewnej chwili
Lambertin, nareszcie syty, przerwał pochłaniające
go czynności. Dotąd nie zwracał zbytniej uwagi
na słowa pułkownika, bo, pomimo wszystko,
siedząca naprzeciw niego kobieta zaciekała go
i interesować zaczęła.

Po raz pierwszy w życiu znajdował się w tak
wesole i milem towarzystwie i nigdy jeszcze
nie patrzono tak upornie i tak słodko na niego.
Czuł, że serce jego topnieć zaczyna pod wpły-
wem jakiejś drażniącej i łagodnej pieczy, a zmysły jego, nie opancerzone niczem, niosły go
ku najśmielszym marzeniom.

Pomału sytuacja rozjaśniała się coraz więcej.
Spojrzenia Berty stawały się bardzo ciepłe, uśmie-
chy jej bardziej wyzywające i ponętne. a on sam,
pod wpływem atmosfery, panującej w pokoju,
czuł, że w żyłach jego przelewają się fale go-
rętszej, żywiołowej krwi.

I wówczas całe ciało jego utonęło w jakimś
odrętwieniu, a do głowy buchało upojenie bar-
dzo przyjemne, z którego nie zdawał sobie
sprawy.

I naraz doznał olśnienia. Ujrzał przed sobą
światy nieznane dotąd i w tym śnie na jawie,
który przybierał coraz to fantastyczniejsze formy —
zdawało mu się, że wystarczy, aby wyrzekł je-
dno tylko słowo — aby w te nieznane światy
ulecieć i sny ponętne w rzeczywistość zamienić.

Pułkownik, który od rozpoczęcia biesiady nie
spuszczał z niego wzroku, wstał w tej chwili
od stołu i wyciągnął cygaro z kieszeni.

— Czy pan pali, panie Lambertin? — zapytał
uprzejmie, zwracając się do gościa.

— Nie, panie pułkowniku — odpowiedział
Lambertin, jak gdyby nagle ze snu zbudzony.

— Jakto? Nawet jedno cygaro po obiedzie?

— Nie używałem jeszcze nigdy tytoniu.

— A to szkoda naprawdę, bo dym cygara
szkodzi pannie Bercie i będę zatem zmuszony
opuścić was na chwilę. Sądję jednak, że nie
zauważycie bardzo mojej nieobecności, bo z pe-
wnością macie sobie wiele do powiedzenia.
Pójdę się przejść trochę, a kiedy powrócę, mam
nadzieję, że się już porozumiecie doskonale.
Berta jest bardzo miłą i zgodną osobą, musiał
pan to już chyba zauważyć, panie Lambertin. —
dodał pułkownik, uśmiechając się.

Młody człowiek nie odpowiedział nic, tylko
zaczemienił się silnie.

Pułkownik zaś ucałował rękę Berty, zapalił
cygaro i wyszedł, pogwizdując wesolo.

Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły,
młoda kobieta wstała, z czego Lambertin uczuł
się bardzo zadowolonym, bo nie wiedział, od
czego zacząć rozmowę.

Podeszła do niego i położyła mu rękę na
ramieniu, uśmiechając się łagodnie.

— Pułkownik ma słusność. — rzekła po-
ważnym głosem, kierując się do przyległego
buduaru — Zapomnieliśmy dotąd o prawdziwym
celu odwiedzin pana i zdaje mi się, że już naj-
wyższy czas przypomnieć sobie o tem. Czy nie
jest pan mojego zdania?

Lambertin spojrział na zegar.

— Oczywiście — odrzekł — tembardziej, że
dochodzi już dziewiąta godzina, a wkrótce będę
zmuszony powrócić do Saint-Nicolas.

— Oh! Co znowu! Pan myśli nas już opu-
ścić? — zawołała z wyrzutem Berta.

— Muszę. — odpowiedział z żalem Lamber-
tin, zatapiając wymowne spojrzenia w jej oczach.

— Życie pana musi zapewne bardzo mono-
tonnie i nudnie upływać w tem małym provin-
cjonalnym miasteczku, gdzie niema żadnych roz-
rywek i zabaw?

— To prawda — ale na szczęście Marsylia
nie jest bardzo oddalona.

— Ma pan przyjaciół? — indagowała dalej
Berta, patrząc z zajęciem na towarzysza.

— Bardzo mało!

— Przyjaciółkę może?

— Ja? — szepnął Lambertin, onieśmielony
dziwnie gorącym spojrzeniem młodej kobiety.

— Ach! Co znowu? Dlaczego się pan tak
broni? W pana wieku, z tym sympatycznym wy-
glądem, byłoby to rzeczą całkiem naturalną.

— Przysięgam pani...

— Oh! Niech pan nie myśli, że jestem nie-
dyskretną. Nie żądam od pana zwierzeń po-
ufnych, ale przypuszczam, że młodzi ludzie
z tych stron nie muszą się zbytnio różnić od
młodzieży paryskiej. Czy pan zna Paryż?

— Nie, proszę pani.

— I nigdy nie zapragnął pan poznać to
miasto i żyć w niem?

Lambertin potrząsnął żywo głową, przesunął
nerwowym ruchem rękę po włosach i obrzucił
młodą kobietę długim spojrzeniem, z którego
wyjrzała jego dusza, rozłęskniona i pragnąca.

— Oh! Paryż! — szepnął marzycielsko —
Paryż! To nieziszczone pragnienie moje!

— Dlaczego? — zapytała żywo Berta — Nie
rozumiem pana. Dlaczegożby pan tam się nie
przeniósł?

— Czy to możliwe? Zginąłbym tam z wszelką
pewnością już w pierwszych miesiącach.

— Co za myśl! Tak się pan lęka uroku tego
wspaniałego miasta?

— Nie kryję się z tem wcale!

— A więc to źle! To bardzo źle, panie Lam-
bertin! Wie pan co? Uczuwałem do pana pra-
wdziwą sympatię i czułabym się bardzo szczę-
śliwą, gdyby pan przybył do Paryża, aby poznać
trochę to życie, przypatrzeć się, badać...

— Co pani mówi? — zawołał Lambertin silnie
wzruszony otwierającą się przed nim per-
spektywą.

— Czy się to panu nie podoba, że interesuję
się panem? — zapytała Berta.

— Jestem przejęty wielką i niezasłużoną do-
brocią pani.

— Jak pan widzi, należę do istot szczerých.
Od pierwszej chwili podobał mi się pan bardzo,
przyznaję to z całą otwartością. Nie powinnam
może mówić tego... ale ja już taka jestem,
zawsze mówię to, co myślę.

— Pani chce sobie zażartować ze mną. —
wyrzekł Lambertin olśniony.

— To bardzo źle, że podobne niedorzeczne
przypuszczenie mogło panu przyjść do głowy. —
odpowiedziała młoda kobieta z wyrzutem.

— Gdyby pani wiedziała...

— Co takiego?

— Kiedy nie śmiem wyznać tego pani. Tak
mało zna mnie pani.

— No, dalej! Niechże pan dokończy! Czyż
jestem aż tak straszna?

— Oh! Niel! Nie... Pani jest piękna i lubię
podziwiać panią... Głos pani tak dźwięczny
i miękki, że słuchałbym go dzień cały!

— Doprawdy? Ależ wcale mnie to nie zraża,
przeciwnie, miło mi to usłyszeć z ust pana.

— Nigdy jeszcze — mówił dalej Lambertin,
podniecając się własnymi słowami — nigdy
jeszcze nie spotkałem tyle wdzięku i piękności.
To tak, jak gdyby jakieś nowe światy otwierały
się przedemną... jakieś nowe odkrycie kobiety...
i teraz, kiedy już poznałem panią, zdaje mi się,
że samotność moja bardzo ciężać mi będzie
i że teraz dopiero pozostanę naprawdę opuszczony
i nieszczęśliwy! Oh! Gdyby to jednak było
możliwe!

Przy tych słowach Lambertin ujął rękę młodej
kobiety i ścisnął ją gorąckowo w swojej.

— Co takiego? Cóżby mogło być możliwe? —
powtórzyła z naciskiem Berta.

— Ach! Szalony jestem, naprawdę! Kocham
panią... Kocham do utraty rozumu.

— Ależ to nie jest rzecz zabroniona, o ile
mi się zdaje. — zaśmiała się Berta.

— Niech się pani na mnie nie gniewa!

— Dlaczegoż miałabym się gniewać! Czyż
kobieta nie czuje się szczęśliwą, kiedy ją znaj-
dują piękną i kiedy wzbudza żywsze uczucia. —
rzekła Berta, życzliwie patrząc na towarzysza.

Ale nagle przybrała melancholijny i smutny
wyraz twarzy i rzekła miękko:

— Widzi pan, w tem życiu, jakie my prowa-
dzimy ciągniemy za sobą wieczną jakąś tęsknotę
i smutek. Jesteśmy zawsze otoczone mężczyznami,
którzy nas kochają, lub przynajmniej chcą obu-
dzić to przekonanie w nas, ale właściwie całe
nasze życie upływa na oczekiwaniu tego czło-
wieka, którego pokochać same mamy. Pragniemy
wszystkie tego gorąco, i to pragnienie staje się
marzeniem naszym nieodłącznym, marzeniem
każdego dnia, każdej godziny, a mojem w szcze-
gólności.

— I pani także? I pani także? — szepnął
Lambertin, ścisnąc coraz namiętniej rękę, któ-
rą nie miano wcale zamiaru mu odbierać.

— Tak! I mojem także! — powtórzyła po-
ważnie młoda kobieta — Chciałam zawsze spotkać
na swojej drodze człowieka, młodego jeszcze,
pięknego, umiającego kochać, a przede wszyst-
kiem szczerego i któryby mnie pokochał całą
siłą serca, które nie zdążyło się jeszcze rozpró-
szczyć i znużyć. Gdybym była takiego człowieka
spotkała!...

(C. d. n.)